

PLACÓWKA W BRZEŚCIU

Brześć nad Bugiem, wg oficjalnej nazwy rosyjskiej Brest (fonetycznie Brjest), po białorusku Berestie (fonetycznie Bjerjescie). Białoruskiej nazwy miasta, jak i języka białoruskiego- ani w Brześciu, ani w całej Białorusi, prawie nigdy przez 11 lat pracy nie słyszałem. W kraju liczącym 8 milionów mieszkańców- nawet prezydent mówi po rosyjsku. W roku 1991 po rozwiązaniu ZSRR próbowano w 300.000-nym wtedy Brześciu uruchomić szkołę z wykładowym językiem białoruskim. Rodzice tak długo protestowali, aż z tego zrezygnowano. Jak mi tłumaczył pewien docent z Uniwersytetu Brzeskiego język białoruski to zlepek słów ruskich i polskich, w którym nie ma wielkiego przekazu kultury- piśmiennictwa, sztuk teatralnych itp. Nie to, co język rosyjski- jeden z pięciu oficjalnych języków ONZ, przebogaty w najwyższej klasy literaturę i inne nośniki kultury.

Trzeba też pamiętać, że rusyfikację Białorusi przyspieszyła wspólna wiara- prawosławie i to, że Białoruś od rozbiorów ponad 200 lat, do 1991 r., za wyjątkiem części, która w latach międzywojennych należała do Polsce, była w Rosji i ZSRR, gdzie językiem państwowym był tak bliski język rosyjski.

Wraz z ogromnym rozwojem przewozów po roku 1991, umówiliśmy się z przedstawicielem PEKAES w Moskwie, że teren mojego działania obejmuje: Białoruś, Ukrainę, oraz część Rosji od granicy z Białorusią do Smoleńska, a po odzyskaniu niepodległości także Litwę. Przypadek sprawił, że pokrywało się to z terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Patrz Wielkie Księstwo Litewskie www.szczebressyn.pl

W Brześciu działał, w czasie mojej tam pracy, uniwersytet i Wyższa Szkoła Pedagogiczna, a także, jak w całym ZSRR, dużo placówek kulturalnych- kina, teatry, muzea, wystawy, różnorakie święta z występami zespołów zawodowych i amatorskich itd.

Brześć to duży węzeł komunikacyjny z jednym z największych w ZSRR lotniskiem i dwoma przejściami drogowymi przez granicę polsko-białoruską, łączące Rosję z Europą. Jedno to Terespol- Brest dla samochodów osobowych, a drugie, dla samochodów ciężarowych Kukuryki- Kozłowici (fonetycznie Kazłowici). Brześć jest także przejściem kolejowym dla ruchu pasażerskiego trasą kolejową od Madrytu do Moskwy. Pociągi mają dwugodzinny postój dla wymiany podwozia wagonów kolejowych z rozstawu europejskiego na szerszy wg. norm rosyjskich.

Nasze przedstawicielstwo rozpoczęło pracę 1.12.1986 r. moim przyjazdem do Brześcia wraz z Janem Zaselem, pracownikiem Ministerstwa Komunikacji, danym mi do pomocy. Pierwszy miesiąc „urzędowaliśmy” w hotelu- myślę, że miejscowe władze w sposób specjalny przygotowywały dla nas pomieszczenia. Później otrzymaliśmy poprzez firmę SOVINTERAVTOSERVIS, której zadaniem jest obsługa międzynarodowych przewoźników, trzy mieszkania w nowym

budownictwie, za które płaciliśmy tej firmie czynsz miesięczny w wysokości ponad 600 USD, a ona płaciła spółdzielni mieszkaniowej w rublach nie więcej niż równoważność 20 USD.

„Prypisano” nas do sklepu „za żółtymi firankami”, gdzie było, w porównaniu ze sklepami w mieście, znośne zaopatrzenie- można było kupić nawet 100 gram kawioru raz na tydzień. Zaopatrzenie uzupełniał dobrze zaopatrzony bazar i obecne w każdym miejscu pracy: urzędach, zakładach, szkołach, kołchozach itd. stołówki. Nas do stołówki zaprosił tamtejszy przewoźnik międzynarodowy- SOVTRANSAVTO, którego jedna z baz była niedaleko naszych mieszkań. Mogliśmy korzystać z „polikliniki”- coś w rodzaju przychodni lekarskiej z kilkoma łózkami szpitalnymi i dużego szpitala wojewódzkiego.

Sovinteravtoservis oprócz mieszkań dał nam do pomocy tamtejszego pracownika, długoletniego tłumacza wojsk radzieckich w NRD, co niewątpliwie świadczyło o jego pracy „w służbach”. Oczywiście był na naszych i to wysokich poborach. Był sympatyczny, bardzo uczynny i pomocny szczególnie w pierwszym okresie, kiedy ułatwiał nam nawiązywanie kontaktów i pilnował abyśmy nie popełnili jakiejś gafy. Jego wygląd, nazwisko i wrodzony talent handlowy wskazywały na pochodzenie z jednej z przedwojennych mniejszości narodowej Polski. Chcąc mu dokuczyć prowokowaliśmy nieraz rozmowy, w których musiał się krytycznie wypowiadać o niektórych aspektach życia w ZSRR. Pocił się biedak, wycierał chusteczką, głupkowato się uśmiechał, patrzył na żyrandol, ale nie odzywał się ani słowem. Na moje prośby, aby go sobie zabrali, bo u nas nie ma co robić, otrzymywaliśmy niezmienną odpowiedź: niech wam gotuje herbatę. W końcu zwolniłem go „na raty”. Najpierw pracował 8 godz. dziennie, potem sześć, potem cztery, potem dwie, aż wreszcie udowodniliśmy, że sami potrafimy gotować herbatę. Spotkałem go na ulicy w Brześciu po upadku ZSRR. Na pytanie, co robi odpowiedział: założyłem w Berlinie spółkę i oddelegowałem się do pracy w Brześciu. Spryciarz nieprzeciętny, ale zawsze sympatyczny.

Roboty było masę. Byliśmy jedyną zagraniczną placówką od Brześcia aż do Mińska. Trzeba było przede wszystkim budować stosunki: wśród władz państwowych, pograniczników, celników, telekomunikacji, pracowników zaplecza technicznego Sovtransavto i terminalu kontenerowego, milicji, drogowców ważących nasze pojazdy i nakładających opłaty za ewentualne przekroczenia dozwolonego nacisku na oś, pracowników banków i urzędu skarbowego- słowem wszędzie i u wszystkich. Traktowano nas „urzędowo” z wielką ostrożnością, nawet nieufnością, nie wiedząc, jak władze będą traktowały ich współpracę z nami- bądź, co bądź przyjechaliśmy z kraju o władniętym jeszcze niedawno „kontrrewolucyjnym” buntem „Solidarności”.

Białorusini to przyjaźni, uczynni i dobrzy ludzie. Muszą się tylko przekonać, że się nie wywyższasz, nie traktujesz ich z góry, jak robi to w sposób często nieprzyjemny, zdecydowana większość Polaków. Jeśli jesteś wobec nich przyjacielski pomogą i załatwią wszystko i wszędzie. W stosunku do nas byli mili i życzliwi, jednak, na wszelki wypadek, ostrożni w kontaktach osobistych. Zdawali sobie zapewne sprawę, że jesteśmy pod stałym nadzorem służb. Owszem bywałem zapraszany przez niektórych nawet na prywatne uroczystości np. urodziny, ale tylko

wtedy, gdy odbywały się w publicznie w lokalu i wyraźnie, jako dyrektor Przedstawicielstwa, z którym współpracują, a nie jako „pan Raman Kaładiejczyk”.

Jedną z dużych trudności w początkowym okresie mojej pracy było ograniczenie dróg, jakimi mogłem się poruszać otrzymanym z Warszawy zdezelowanym Polonezem. Otrzymana od odpowiednich władz d/s cudzoziemców (jakaś komórka KGB) przepustka, pozwalała mi na poruszanie się po drodze Brześć- Mińsk- Moskwa, oraz Brześć- Kowel- Łuck- Równe- Kijów. Do Lwowa aż z Równego, a nie krótszą trasą z Łucka. Było to bezwzględnie przestrzegane przez GAI- ich „lotną”. (Gosudarskaja Awtomobilnaja Inspekcja- Państwowa Inspekcja Samochodowa). Kiedyś nasz kierowca poszkodowany w wypadku drogowym został przewieziony do szpitala w Baranowiczach, gdzie zmarł. Pojechałem tam i pomimo tego, że pierwsze zabudowania Baranowicz leżały zaledwie 200 m obok autostrady Brześć- Moskwa, nie zostałem tam wpuszczony, gdyż nie miałem przepustki do Baranowicz.

GAI, jak wszystkie jednostki policyjne w państwach totalitarnych, miała taką władzę i budziła taki strach, że miejscowi na wszystko, co mówił milicjant mogli odpowiadać tylko: tak jest. Polak, który coś kwestionował słyszał: przaprzak- pogardliwa nazwa Polaka- słowo pochodzi od przaprzyczącej w uszach Rosjanina mowy polskiej, jak ci się nie podoba to uciekaj do swojej Polski.

Najgorsze było ukaranie kierowcy mandatem, bowiem mandat trzeba było zapłacić w banku, po czym wrócić do milicjanta i okazać bankowy kwit. Oczywiście samochód zostawał w tym czasie na placówce milicyjnej. Dobrze, gdy działało się to miście gdzie był bank. Ale jeżeli stało się to np. na 1.000 kilometrowej trasie Brześć— Moskwa, gdzie co kilkanaście kilometrów stała budka z 2—3 urzędującymi tam milicjantami, dostanie się do banku w najbliższym miście, przy braku jakiegokolwiek komunikacji publicznej na tej trasie i powrót z kwitem metodą „na łebka” było wielką dolegliwością. W ten sposób uczono dyscypliny „gadatliwych” kierowców. Na drugi raz mówił tylko: tak jest. Wpłaty w banku miały, wg władz, zapobiegać łapówkom, w rzeczywistości zmuszały kierowców do dawania łapówek zamiast jazdy do banku. Milicjanci z GAI byli nazywani nawet w gazetach „tryrublowcy”, brali trzy ruble- jest taki banknot w Rosji i w Białorusi i nie było sprawy.

Powszechne tam łapówkarstwo to wielowiekowa tradycja przeniesiona z carskiej Rosji. Otóż za caratu wielkie grupy urzędników pochodzących zazwyczaj ze szlachty nie otrzymywały poborów- mieli traktować swoją pracę dla kochanej „matuszki Rassyji” jako obowiązek, za darmo i utrzymywać się z dochodów z własnych folwarków. W zdecydowanej większości na urzędników szła drobna szlachta bez znaczących majątków i utrzymywała się, za wiedzą wszystkich, z łapówek. Patrz „Rewizor” Gogola, gdzie pokazano szczegółowo metody ich brania i to wedle rangi. Miałem charakterystyczne zdarzenia. W pewnym sklepie sprzedawczyni obiecała zatrzymać dla mnie, kiedy nadejdą, szerokokątny obiektyw do aparatu fotograficznego. Obiektyw był dla tamtejszych mieszkańców bardzo drogi- szczegółów już nie pamiętam. Przypuśćmy, że kosztował 45 rubli- podałem jej banknot 50

rublowy i otrzymałem z powrotem 2 ruble. Kiedy zapytałem znajomych, o co chodziło otrzymałem dowiedź: ranga sprzedawczyni to ranga 3 rublowa- gdyby była to kierowniczką wzięłaby 5 rubli.

W ten praktyczny sposób rozwiązano odwieczny, międzynarodowy dylemat- ile dać?

Później, kiedy dostałem w spadku używane najpierw przez dyr. Kowalika w Hanowerze, a następnie przedstawiciela PEKAES w Moskwie VOLVO 740 z numerami dyplomatycznymi, poruszałem się w zasadzie bez przeszkód. W Moskwie było wspólne przedstawicielstwo PKP i PEKAES, na którego czele stał przedstawiciel w randze dyplomatycznej- „Attache ds. Transportu”, stąd dyplomatyczna rejestracja samochodu. Po roku 1991, po upadku ZSRR i lawinowym narastaniu ruchu zagranicznych samochodów sytuacja radykalnie się zmieniła- nie potrzebne były już żadne przepustki.

Zimą miałem kłopoty z moim VOLVO. Diesel ze znacznym przebiegiem i radzieckim paliwem sprawiał częste niespodzianki. Na całe szczęście zajezdnia SOVTRANSAVTO w Brześciu eksploatowała, tak jak Błonie, Samochody marki VOLVO i z filtrami paliwa nie było kłopotów. Dyrektor bazy Leonid Katulin pozwolił mi zimą wprowadzać samochód na noc do hali stacji obsługi.

Często wyskakiwałem do Terespoła, aby zaopatrzyć się tam w olej napędowy, gdyż do radzieckiego, zwanego „solarka”, miałem uzasadnione podejrzenia o brud i spore ilości wody. Powstała śmieszna sytuacja- Polacy gromadnie jeździli do Brześcia zaopatrywać się w tanie paliwo, a ja odwrotnie.

Jako ciekawostkę można podać sposób tankowania paliwa w byłym ZSRR. Podchodziło się do okienka budynku stacji paliw i kupowało np. 50 litrów paliwa. Dostawało się wszechobecny w ZSRR „tałaczik”. Z tym talonem podjeżdżało się pod dystrybutor, gdzie pracownik stacji nastawiał licznik i włączał dystrybutor. Bywało, że odbiorca paliwa źle obliczył ile mu się zmieści i resztówka lała się na ziemię, aż do 50-cio litrowego skutku.

„Tałaczik” był wszędzie, doprowadzony do absurdu- najbardziej denerwował w sklepach. W Moskiewskim „Uniwersum” (prototyp dzisiejszych kolosów), ale i w wielu innych sklepach trzeba było podejść do kasy, zapłacić, dostać „tałaczik”- paragon, dać go sprzedawczynie za ladą, która wydała zakupione rzeczy. Tak to ZSRR traktował swoich obywateli, wbrew szczytnej ideologii, jako potencjalnych złodziei- weźmie zakupy, ale kasę ominie. Drugą denerwującą rzeczą był „piereriw”. Od godziny 12 do 13 cały ZSRR przerywał pracę, aby załoga mogła zjeść „abied”- ichni lunch. Oczywiście i restauracje były zamykane- przecież ich pracownicy, jak wszyscy, też mają prawo zjeść „abied”.

Poznałem to jeszcze przed pracą w Brześciu. Wybraliśmy się z kolegą, dużymi Fiatami, z naszymi żonami i każdy z dwójką kilkunastoletnich dzieci, na urlop do Soczi. Noclegi mieliśmy wyznaczone w bardzo przyzwoitych domkach na ogrodzonych kampingach, położonych od siebie o około 500 km. Po wyjechaniu z Warszawy pierwszy był we Lwowie a następne w Kijowie, Charkowie,

Rostowie nad Donem, Golendziku i Soczi, które, jak wiadomo ma 140 km długości. Nasz kamping znajdował się na końcu Soczi- tuż przy granicy z Gruzją.

Zmęczeni niesamowicie kilkudniową jazdą i sierpniowym upałem, klimatyzacji jeszcze w samochodach nie było, zajeżdżamy pod bramę motelu w Soczi- zamknięta. Po dłuższym dobijaniu się wychodzi jakiś cieć i ze złością mówi- piereriw. Zmiękczony trzyrublówką wpuszcza nas do środka i oznajmia, że musimy poczekać, bo biuro jest zamknięte, gdyż jego pracownicy jedzą w stołówce „abied”. Zauważyłem budynek z napisem „Stołowaja”- stołówka. Idziemy, aby coś zjeść zamiast siedzieć w samochodach. Siadamy, podchodzi kelnerka i pyta „tałączik” u was jest? Pytam gdzie wydają? W biurze! Kto mnie zna wie, że nie wytrzymałem! Wyszarpnąłem z kieszeni wymienione ruble, walnąłem nimi o stół i wyrzeszczałem: a to co? To talony waszego państwa, Sawieckiego Sajuza, a nie wasze zasrane! Kelnerka i cała sala patrzyła z politowaniem- przyjechał jakieś debil, który nie wie, że do obiadu potrzebny jest talon otrzymany w biurze. Najlepszy wynalazek w świecie, gdyż pobiera się go raz na cały urlop i nie nosi codziennie pieniędzy, które można zgubić, albo zostać okradzionym.

Największą trudnością w pracy był brak możliwości wjazdu na teren przejścia granicznego i dotarcia, w razie potrzeby, do kierowcy, służb fitosanitarnych i celnych. Potrzeba takiego dotarcia była prawie każdego dnia. Tu dopomógł mi szczęśliwy dla mnie przypadek. Jako jedyny cudzoziemiec mogłem każdej chwili wjechać na granicę- miałem stałą przepustkę wydaną mi przez dowódcę brygady pograniczników.

Otrzymałem ją jeszcze za czasów ZSRR, kiedy przejście przez granicę było niezmiernie dokładnie pilnowane. Jadąc do Polski przejeżdżało się najpierw przez posterunek milicji, następnie przez posterunek pograniczników, w których dokładnie przeglądano dokumenty samochodu i osobiste. Śmiesznie, ale i groźnie wyglądało sprawdzanie tożsamości. Milicjant a następnie pogranicznik trzymał w ręku dowód z fotografią, przed nim stał na baczność właściciel dowodu. Sprawdzający kilkakrotnie, w szybkim tempie spoglądał na fotografię i twarz- fotografia twarz, fotografia twarz, fotografia twarz. Następnie po sprawdzeniu czy na następnym punkcie kontroli nie ma kolejki podnoszono szlaban. Tak docierało się do punktu odprawy celnej. Wjeżdżało się na stanowiska nad kanałem, do którego wchodził pogranicznik z lusterkiem i latarką i dokładnie sprawdzał podwozie i jego zakamarki. W podręcznych schowkach na desce rozdzielczej uważnie czytał znajdujące się tam nawet skrawki papierów, czy notesy z adresami. A potem już tylko odprawa celna oparta na obszernej, szczegółowej deklaracji celnej pisanej przy wjeździe i wyjeździe. I wreszcie, po kilku minutach przejazdu przez most na Bugu, można było ucałować ziemię ojczystą- Polsko jakaś ty wspaniała! Oczywiście prawie to wszystko omijało mnie później- jechałem pasem dyplomatycznym, na początku z rozterkami pograniczników- numery samochodu dyplomatyczne, a paszport tylko służbowy. Co robić przepuścić czy nie?

A z przepustką było tak. Jakiś wąsaty praporszчыk (chorąży) ze sprawdzających paszporty pograniczników sowieckich wypukał mnie z biura na ulicę (następny dowód, że byliśmy na podstłuchu) i dosłownie

płacząc prosił mnie: pan ratuj, ja mam dzieci- zamkną mnie. Okazało się, że przepuścił kilka dni wstecz naszego kierowcę jadącego do Moskwy na paszport innego naszego kierowcy, które to paszporty zamieniono im przez pomyłkę podczas odprawy w Słubicach. Sprawa wyszła na jaw przy powrocie kierowcy z Moskwy. Natychmiast zawieszono praporszczyka, a nieprzyjemności miałyby major kierownik zmiany i podpułkownik kierownik przejścia,

Poprosiłem poufnie szefa sztabu brygady, który stał o kilkanaście metrów od płaczącego praporszczyka, aby wstrzymali się ze wszystkim na cztery godziny. Przejechałem na polską stronę, zadzwoniłem do naszych kadr w Warszawie prosząc, aby natychmiast, gońcem, dostarczyli na granicę będący w depozycie, drugi paszport zatrzymanego kierowcy. Odebrałem go od gońca, przewiozłem na stronę ZSRR, gdzie koledzy biednego pogranicznika wbili w paszport odpowiedni stempel wjazdowy. Oficjalnie wyjaśniłem, że nasz kierowca miał paszport prawidłowo sprawdzony i ostemplowany przy wjeździe do ZSSR, a ten drugi, którym się przez pomyłkę legitymował jest jego kolegi, który zachorował w Moskwie i paszport jest odwożony do organów paszportowych w Warszawie. Oczywiście wszyscy wiedzieli jak było faktycznie.

Kilka tygodni później zostałem poproszony do generała, dowódcy brygady pograniczników, który częstując tradycyjnym czajem, w obecności szefa sztabu, wdał się ze mną w pogawędkę o niczym- typowy w Rosji sposób mający doprowadzić do obowiązkowego rewanżu za wyświadczoną przysługę. A to bardzo dobrze, że takie przedstawicielstwo zostało powołane, a to, że z kierowcami PEKAES dobrze się pracuje, bo są zdyscyplinowani i znają swoją robotę itd. itp. Nic nie wspominał o sprawie paszportu. Przy pożegnaniu zapytał czy mógłby być mi w czymś pomocny. Oczywiście wszystko było wcześniej omówione. Poprosiłem o przepustkę do wjazdu na teren graniczny. Zwrócił się do szefa sztabu: wydać, a po chwili dodał: oficerską. A więc z zielonym paskiem, która upoważniała nie tylko do wejścia o każdej porze na teren graniczny Kozłowici, ale na każde przejście w obrębie działania brygady.

Dodatkowo uzyskałem przychylność i opinię „swojego chłopca” nie tylko u pograniczników, ale również celników i innych pracowników służb granicznych. Od tego czasu wszyscy pracownicy przejścia granicznego w Kozłowiczach nie tylko mnie znali, ale i chętnie udzielali pomocy.

Kiedyś przyjechały do mnie dwie panie z naszej dyrekcji. Po pokazaniu im Brześcia i białoruskiej części puszczy Białowieskiej, postanowiłem urozmaicić im powrót do kraju w kabinie naszego samochodu ciężarowego, czego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyły. Załatwiłem pomyślnie tę sprawę z pogranicznikami i podwiozłem panie swoim samochodem na granicę. Po dojechaniu do bramy zobaczyłem stojących za bramą szeregiem po trzech pograniczników z każdej strony drogi- a w środku mojego praporszczyka. Praporszczyk gromko krzyknął: smiiiiirno (bacznosc) i otworzył bramę. Przedfilowaliśmy na wesoło przed siedmioma salutującymi żołnierzami.

Moja przepustka była szczególnie przydatna w 6–ciu ostatnich latach mojego pobytu w Brześciu, kiedy rozpadł się ZSRR i powstały niepodległe państwa. Teraz najwięcej pracy kosztowało mnie „przepychanie” przez granicę znacznie zwiększonej ilości naszych samochodów. Mogłem rzeczywiście sporo załatwić.

Oto trochę szczególnych przykładów. Po roku 1991, po stronie białoruskiej, pracowały trzy urzędy celne: Polski, Białoruski i Rosyjski. Każdy z nich miał inne przepisy i wymagania odnośnie do dokumentacji, które na dodatek, co chwila się zmieniały. „Prosiłem” pracowników inspekcji fitosanitarnej o przepuszczenie zatrzymywanych samochodów, zastępując „nieznających się na rzeczy” kierowców, którzy nie zostawiali fitosanitarnym skrzynki jabłek czy „cwietnajej kapusty”- kalafiorów dotąd w Rosji nieznanych, a „potrzebnych im do badań”. Samochód wiozący urządzenia medyczne, niezgodnie z konwencją TIR, o wartości ponad 2.000.000 DM został zatrzymany przez celników rosyjskich. Poszedł ze mną do nich kierownik białoruskiego urzędu celnego i powiedział: „Kaładiejczyku nie przepuścicie tego samochodu?” I przepuścili. Po wydaniu nowych przepisów, że rosyjski importer musi mieć zezwolenie ministerstwa w Moskwie na każdy sprowadzany do Rosji kg mięsa (patrz powyżej- od czasów carskich tego rodzaju limity i koncesje wydaje się po to, aby mogli coś zarobić również i urzędnicy ministerstwa), zostało na granicy zatrzymanych 27 chłodni z mięsem. Daliśmy radę i temu. Samochód, który stał w Bobrownikach 3 miesiące i tamtejsi celnicy nie chcieli go przepuścić kazałem skierować do Brześcia, został odprawiony w ciągu godziny.

Takich interwencji było bardzo dużo- celnicy czy fitosanitarni, z którymi nie mogli dogadać się z kierowcy, najczęściej pochodzący z Wielkopolski, radzili im zadzwonić po mnie. Jechałem wyjaśnić sprawę, lub w razie potrzeby ścigałem z Warszawy dodatkowe dokumenty. Oczywiście nie wszystko i nie zawsze kończyło się to sukcesem.

Najbardziej uciążliwa była jednak współpraca z urzędami celnymi w miejscu odbioru towarów. Te sprawy, a także rabunki na drodze, dochodzenia milicyjne, wypadki drogowe, choroby kierowców, cięcie plandek i kradzieże itp. przypadki, trzeba było najczęściej rozwiązywać osobiście na miejscu ich powstawania. Inaczej niż w naszych przedstawicielstwach w państwach zachodnich, gdzie w warunkach stabilnych przepisów i procedur często wystarczył telefon.

Nie wysiadałem z samochodu. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu 11 lat przejechałem samochodem 340.000 kilometrów po drogach ekspresowych, pierwszej i drugiej kategorii, a nieraz i polnych. Pozwoliło mi to jednak na poznanie tych terenów i rozmowy z setkami ludzi: od sprzątaczek do ministrów. Z celnikami, pogranicznikami, pracownikami milicji i służby zdrowia, spedytorami, pracownikami recepcji w hotelach, mechanikami samochodowymi i ładowaczami, dyrektorami i właścicielami różnych firm powstałych po 1991 roku (nieraz o podejrzanych interesach), z urzędnikami rozbudowanej, ale sprawniejszej niż w Polsce, administracji centralnej i terenowej, kelnerami i pijakami w restauracjach, dziennikarzami i zwykłymi mieszkańcami wsi i miast.

Z ludźmi, których mentalność oparta jest na trzech filarach:

1-szy na religii prawosławnej przyjętej z Bizancjum, która przez 1.000 lat ukształtowała mentalność Rosjan, Białorusinów i Ukraińców, ale także opanowała podświadomie poczynania niewierzących, w tym Stalina. Polega ona na przekonaniu, że Rosja to „Trzeci Rzym”. Po upadku Rzymu właściwą władzę cesarską i strażnika religii chrześcijańskiej przejęło Bizancjum, a po upadku Bizancjum Rosja, która tym samym „odziedziczyła” misję zbawienia całego złego świata. Stąd ich mistycyzm, duma i przekonanie o wyjątkowości swojego narodu.

Dla prawosławnych jedno z najważniejszych nakazów to słowa Jezusa do apostołów: idźcie i nauczajcie. Do wszystkich apostołów jednakowo. Nikogo nie wyróżnił Jezus, jako ich przełożonego. Bo słowa „ty będziesz opoką” nie oznaczają, że Piotr otrzymał zwierzchność nad innymi apostołami, ani tym bardziej, że reprezentuje Chrystusa na ziemi i jest w sprawach wiary nieomylny. Następcy Piotra w Rzymie wzięli szybko przykład z cezara i senatorów rzymskich. Papież jest jak cesarz absolutnym jedynowładcą całego świata katolickiego, a kardynałowie jak rzymscy senatorowie. Nie wystarczyła im biblia- wprowadzili w życie katechizm, gruby jak biblia, pełen kategorycznych nakazów i zakazów.

W prawosławiu nie ma czegoś, co nazywa się papieństwem. Żaden biskup, metropolita czy patriarcha prawosławny nie jest przez nikogo mianowany- jest wybierany przez odpowiednie synody. Prawosławie oparte jest również na bezpośrednim, indywidualnym kontakcie każdego wyznawcy ze swoim księdzem „ojcem duchownym”, „batuszką” (ojczulkiem). Przyniosło to nie tylko bliskość, ale i pewną poufałość stosunku do księży i do władzy świeckiej też. Nawet do Putina nie mówi się: gaspadin prezydent, tylko Władimirze Władimirowiczu. Słowo pan jest znane i używane tylko w Polsce i Czechach. Stąd złośliwe rosyjskie: palaki wsie pany. Pochodzi z języka tyreckiego- ban, tak jak i inne słowa np. ułan czy lanca.

2-gi. Odziedziczona po Bizancjum symbioza władzy państwowej z cerkiewną- car i religia (lub Stalin i świecka religia--marksizm). Car to najważniejsza osoba w państwie, dana od Boga.

Demokracja bizantyjska była specyficzna, uznawała kolektyw przed jednostką i cesarza, jako ucieleśnienie najwyższego kolektywu-narodu. Ta ideologia została przeniesiona z Bizancjum do Rosji. Jednostka ma służyć kolektywowi, poświęcić się dla kolektywu. Stąd nie mogą Rosjanie i ich pobratymcy pojąć, że dla nas wyrosłych w kulturze śródziemnomorskiej Grecji i Rzymu, najważniejsza jest jednostka i jej prawa, że ciągle mówimy o prawach człowieka. Pamiętam, jakie wrażenie- zdziwienie i śmiech- zrobiło w Rosji podanie się do dymisji ministra spraw wewnętrznych Niemiec, gdy podległy mu policjant zastrzelił w pościgu terrorystę z Czerwonych Brygad. Jak to? Terrorystę nie trzeba ścigać tylko od razu zastrzelić i to bez sądu, przecież on zagraża społeczeństwu. Jak durny i zgniły zachód tego nie rozumie? Stąd już jeden krok do przekonania, że jeżeli Stalin wymordował ileś tam ludzi, to widocznie tak musiał zrobić dla dobra najważniejszego kolektywu: państwa- ZSRR.

Rosjanie są przekonani, że ich forma państwowości jest najlepsza na świecie i dziwią się, że świat nie może tego pojąć, Dowód? 80% obywateli, bez oszustw głosuje na Putina, gdyż reprezentuje on model

państwa, do jakiego od tysiąca lat przywykli jego rodacy. Jest swój- na wskroś Ruski.

3-ci filar najlepiej obrazuje anegdota: jest rok 1944. W gabinecie Stalina trwa narada o podziale Niemiec. Jeden z uczestników mówi: tawarysz Stalin nużno dać Polsce kusoczek siewierno- wostocznej germanii (towarzyszu Stalin trzeba dać Polsce kawałek północno-wschodnich Niemiec. Dzisiejsze Mazury). Stalin podchodzi do biurka, na którym leży rozłożona mapa Europy i oparłszy na niej szeroko rozstawione palce pochyła się. Patrzy, patrzy, patrzy i w końcu mówi: a gdzie ona, eta Polska (gdzie ta Polska?). Podbiega adiutant, przesuwa wielki palec Stalina o kilka centymetrów i mówi: zdieś ona (tutaj). Całą Polskę przykrywał jeden kciuk Stalina. Śpiewa się: Maguczaja strana-potężny olbrzymi, kraj!

Kiedyś w Moskwie jakiś Ruski nacjonalista, a jestem pewien, że powtórzyłoby to za nim wielu Ruskich (Rosjanin to obywatel Rosyjskiej Federacji, a więc także ludzie różnych narodowości. Ruski to etniczny obywatel dawnej Rusi- 140 milionów ludzi) powiedział mi: gdyby Rosję wyobrażał mężczyzna mierzący 180 cm, to Polskę krasnoludek o wysokości 3,5 cm- Rosja jest 55 razy większa od Polski. Oficerów polskich nie wymordowali Ruscy tylko Gruzini- Stalin i Beria. A wiesz ilu jeńców radzieckich wymordowali Niemcy? Odpowiadam: wiem z procesu norymberskiego- trzy i pół miliona. No widzisz- a ty mówisz o jakichś 22 tysiącach. I tak się kończą rozmowy z „ruskim czelawikiem”.

Rosja jedynie USA uważa za równe sobie państwo, za drugą kategorię krajów Chiny, Niemcy i Francję, a Polskę traktuje tak, jak pozostałe państwa świata, a często i gorzej. Jeśli na środku ruchliwej moskiewskiej ulicy siedziałby jakiś człowiek wyglądający na cudzoziemca i np. pił wódkę, jestem pewien, że wielu przechodni powiedziałoby: pewnie palaczok- to nieodpowiedzialni ludzie, po nich wszystkiego można się spodziewać. Myślę, że wielu na zachodzie też by tak powiedziało. Druga „mądrość”- co robi polska mysz? Wypija setę, wchodzi do pokoju i woła: gdzie ten kot! Dawajcie mi tego kota!

Wydawało się, że wreszcie wpłynęliśmy na spokojne, przyjacielskie wody Unii Europejskiej.

Moje wrażenia ze spotkań z setkami ludzi, Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, to inna opowieść- zaręczam, że arcyciekawa szczególnie dla nas, którzy mają o Rosji i pozostałych krajach tego obszaru wciąż swoje stare utarte stereotypy, często odbiegające od rzeczywistości. Nieporównanie lepiej znają ich Niemcy, czy Francuzi.

A także o mieszkających tam Polakach, Np. o białoruskiej Polonii, gdzie żrą się o to, która z licznych frakcji ma rządzić. Gdy sąd rozstrzygnął sprawę, że ta najliczniejsza- to pozostałe oskarżają Łukaszenkę o prześladowanie. A litewska ze swoimi frakcjami? A niemiecka, która nie może powstać, gdyż licząc ponad milion Polaków ma tyle samo prawdopodobnych liderów!

Po zakończeniu pracy przez moich współpracowników sukcesywnie oddawałem ich mieszkania, a w ostatnich latach, kiedy przewozy samochodowe coraz bardziej się „cywilizowały”, zlikwidowałem nawet pomieszczenia biurowe, zostałem sam i wszystkie środki łączności przenieśliśmy do mojego dość obszernego mieszkania.

Opóźnił się mój powrót do kraju- zamiast czterech lat byłem tam jednaście. W 1991 roku po rozpadzie ZSRR i powstaniu niepodległej Białorusi chodząca od mieszkania do mieszkania rozradowana delegacja powiadomiła mnie, że automatycznie zostałem obywatelem Białorusi. Dopiero po kilku miesiącach na skutek moich poczynań poinformowano mnie, że nie było automatu tylko możliwość wyboru. Były takie wybory. Ksiądz Władysław Blin z diecezji Włocławskiej, pracujący w Mohylowie, którego do mnie skierował przyjaciel z Ciechocinka i któremu przez lata często załatwiałem różne sprawy w kraju, przyjął, zapewne za wiedzą i akceptacją wysokich władz kościelnych obywatelstwo białoruskie i niebawem został biskupem w Witebsku. Był do przyjęcia dla miejscowych władz- biskup Białorusin, a nie Polak.

Ja bez zmiany obywatelstwa wypracowałem tam sobie jakąś pozycję. Po rozwiązaniu ZSRR, w lokalu użyczanym mi przez zaprzyjaźnionego dyrektora parku białowieskiego, urządziłem przyjęcia urodzinowe. Przyjeżdżało na nie spore grono prominentnymi pracownikami służb celnych i pogranicznych. Przyjęcia były huczne, gdyż z moimi poborami można było czuć się tam milionerem. Dyrektor SOVTRANSAVTO zarabiał 130 rubli, wiceminister 250, minister 300, a ja ponad 600. Było, za co organizować przyjęcia. Swoją drogą, gdy przyjeżdżało się do Polski z tymi sześciuset rublami były to pobory jedynie wyższe niż przeciętna krajowa. Na prawdziwe pieniądze czekałem kilku lat.

W późniejszym okresie mojego tam pobytu zwiększył się ruch ładunków do Iranu, choć uległa zmianie ich organizacji. Nie posyłaliśmy już naszych naczep, lecz przeladowywaliśmy towary (prawie wyłącznie masło i sery) z naszych chłodni na rosyjskie. Natomiast ogromnie wzrosła ilość rozwożonych przez nas po Europie kontenerów, ładowanych teraz na nowym terminalu w Brześciu. Zaczynając, w chwili mojego przyjazdu do Brześcia, od 120 rocznie doszliśmy do około 5.000 rocznie, czyli wszystkie, jakie nadchodziły. Ku oburzeniu Sovtransavto wypchałem ich całkowicie z tych przewozów, co gorsza zostali z 40 kupionymi podwoziami kontenerowymi bez pracy dla nich. Potem, w połowie lat dziewięćdziesiątych, gwałtownie załamały się przewozy na kolejach rosyjskich. Kolej rosyjska zrobiła ten sam błąd, co PKP. Zamiast zredukować koszty zaczęła podnosić stawki, co w prostej drodze powodowało zmniejszanie się masy towarowej zlecanej jej do przewozu.

Japonia i Korea Południowa wycofały się z przewozów kontenerów do Europy koleją transsyberyjską. Dzisiaj kontenery nawet z ładunkami dla firm rosyjskich są przywożone drogą morską do Rotterdamu, a potem transportem samochodowych są dostarczane do Moskwy. Teraz spedytorzy rosyjscy chcą przywrócić przewozy kontenerów linią transsyberyjską, ale to im się nie udaje, gdyż w międzyczasie przewoźnicy morscy pobudowali tak potężne kontenerowce, że kolejowe frachty nie są niższe niż morzem.

Nową działalnością było ładowanie przez pana Piotra Krawieckiego, naszego przedstawiciela w Bagdadzie, powracających pusto samochodów papierosami do Rosji i Białorusi, którymi Irak spłacał swoje zadłużenie. Odprawy celne i rozładunek papierosów odbywał się w Brześciu. Było to bardzo uciążliwe, gdyż prawie zawsze ich ilości była

nieznacznie, ale mniejsza niż w dokumentach. Kto dokonywał przewozów przez kraje muzułmańskie takich atrakcyjnych towarów jak papierosy ten wie, że na granicach samochody mogą być otwierane i pewna, niewielka ilość może być zabierana, w formie bakczyszu. Eksporterzy przy przewozie np. słodyczy na Bliski Wschód zawsze dodawali małe ich ilości ponad uwidocznioną w liście przewozowym wielkość. Ponieważ papierosy były wyładowywane w Brześciu, celnicy białoruscy chcieli abym osobiście był przy rozładunku i podpisywał odpowiednie protokoły. Nie dałem się w to wkręcić.

Z Białorusi nie było żadnych ładunków na zachód, gdyż tak jak Litwa, Łotwa, środkowa i zachodnia Ukraina, wyznaczona była przez władze w Moskwie, do produkcji żywności dla całego ZSRR. Tylko tzw. zwana „Mała Rosja”- tereny Doniecka, Ługańska, oraz części województw charkowskiego i odeskiego, a więc dawne Dzikie Pola poddane przez Chmielnickiego Rosji i zasiedlone przez carów Rosjanami, przeznaczono do industrializacji.

Dawna stolica (prawosławnych) kozaków zaporoskich, których hetmanem był Chmielnicki- Sicz, to dzisiaj dwumilionowe miasto o nazwie Dniepropietrowsk. Jedną z jego najstarszych dzielnic nazywa się Kudak, nazwa znanej z Sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem” twierdzy, wybudowanej przez Wielkie Księstwo Litewskie w roku 1635, zburzona przez kozaków w roku 1648.

Praca moja w Brześciu zakończyła się gwałtownie. Pewnego wieczoru usłyszałem w telefonie: nigdzie nie wychodź z domu, a jeśli wyjdiesz „my ciebie ubieriom” (sprzątniemy). Po tym telefonie błyskawicznie, chyłkiem, nie zbliżając się nawet do mojego samochodu stojącego przed domem, uciekłem na pobliski posterunek milicji skąd odwieziono mnie na komendę miasta. Tam dyżurny oficer kazał mi przesiedzieć z nim całą noc i powiedział, że ostatnio mieli już kilka takich przypadków. Do pracujących w Brześciu obcokrajowców przychodzili nocą goście, którzy delikwentowi wyliczali ile lat w Brześciu przepracował, ile pieniędzy zarobił i ile musi im oddać. Nazajutrz zadzwoniłem do znajomej firmy ochroniarskiej, która dała mi dwu uzbrojonych ludzi, spakowałem podstawowe rzeczy i pojechałem do Warszawy. Ponieważ pracowałem już tylko sam a sprawy na granicy coraz bardziej się normowały, postanowiono nie wysyłać innego pracownika, lecz zawiesić czasowo działalność przedstawicielstwa.

Potem pojechałem do Brześcia jeszcze na kilka dni, aby zlikwidować mieszkanie, dokonać rozliczenia z bankiem, urzędem finansowym, telekomunikacją itp., a na koniec do Mińska do Ministerstwa Handlu Zagranicznego, aby powiadomić o zawieszeniu działalności przedstawicielstwa. Po 49 latach studiów i pracy przeszedłem na tzw. zasłużony odpoczynek.